

665

Londyński przebój sezonu teatralnego – w Polsce

Przepis na angielski trawnik

Jacek Sieradzki

Wyobraź sobie – opowiadała – półtoratysięczną (!) publiczność wieczoru, która swobodnie, z lubością polyka erudycyjne żarty, językowe stylizacje, finezyjne wywody. Ogromną, rozbawioną salę, czując właśnie na subtelności i wyrafinowania konwersacji, żywą i wdzięczną, mimo że teatr nie podsuwa jej żadnych widowiskowych atrakcji, niczego właściwie – poza czystym, perfekcyjnym dialogiem.

Wymieniliśmy doświadczenia: ja także jeździłem oglądać „Arkadię” – nie do Anglii wszakże, tylko do Gdańska, gdzie zespół Teatru Wybrzeże przygotował polską prapremierę. Widzów na sali było, jakkolwiek liczyć, mniej niż w Londynie; przedstawienie śledzili z zainteresowaniem i z wyczuwalną sympatią. Niemniej odbiór był wyraźnie chłodny; o wspólnocie lekkiej, nie wymuszonej zabawy intelektualnej nie było co marzyć. Słabszy spektakl i drętwa publiczność w środku lata? Może; podejrzewam jednak co innego: spotkanie najmodniejszego obecnie angielskiego tekstu dla teatru z dniem codziennym polskiej sceny i jej widowni ujawniło pewną trudną do zniwelowania barierę kulturowej obcości. Nieczęsto dostrzeganą – tym bardziej może godną uważnego spojrzenia.

Stoppardowska opowieść rozgrywa się w Sidley Park, wiejskiej posiadłości w Derbyshire. Przy wielkim stole, jak w romantycznej komedii, przystojny guwerner prowadzi lekcje z lordowską córką, opędzając się od jej nie całkiem świadomej zalotności oraz od pretensji domorosłego poety, któremu przed chwilą uwiódł, cokolwiek od niechcenia, żonę. W następnej scenie w ich fotelach siadają para badaczy przeszłości: pisarka i profesor uniwersytetu. Ci są jednak od tamtej dwójki o nieomal dwieście lat późniejsi. Akcja skacze wahadłowo od 1809 roku do dziś, uwiadamniając się to w strojach, poszczególnych przedmiotach i w mowie bohaterów – sam salon pozostaje niezmienny. Przejęci historycy-detektywi grzebią w papierach, usiłując odtworzyć rzeczywistość sprzed lat, zrozumieć sens i przyczyny zdarzeń. Ale myślą tropy, biorą głupstwa za istotne przesłanki i dają się wodzić za nos przypadkowi – co autor każe śledzić ze złośliwą satysfakcją, biorąc ściany i sprzęty salonu na niemych świadków nierekonstruowalnej przeszłości.

Równocześnie z lekcjami i flirtami trwa przebudowa terenów wokół Sidley Park w duchu obowiązującej w romantyzmie neogotyckiej malowniczości: nowy park będzie teraz dziki, na przekór zasadom perspektywy i regularnościom klasycznych ogrodów. Będzie nieprzewidywalny – podobnie jak nowoczesnie nieprzewidywalny i nie-regularny staje się u progu dziewiętnastego wieku świat, któremu przesta-

Wróciła z wywczaśów w Londynie znajoma uczona z IBL-u, literaturoznawczyni i teatromanka. Oglądała tam przeważnie Szekspira, lecz raz ją też zaniósł, na rzecz współczesną – na „Arkadię” Toma Stopparda; prapremierę przygotował w zeszłym roku National Theatre, po czym sztuka trafiła na komercyjny West End i utrzymuje się tam z sukcesem już niezły szmat czasu. Miłośniczkę sceny z Polski oszołomiła nie sama tylko inscenizacja, ale i reakcje widowni.



Mirosław Baka jako Valentin Coverly i Dorota Kolak jako Hanna Jarris

Fot. Małgorzata Bramorska-Fogiel

ją wystarczać klasyczne, nie uwzględniające czynnika czasu, reguły mechaniki Newtonowskiej. Przeczuwa to już owa lordowska córka, nad wiek rozwinięta trzynastolatka, genialna matematyczka; jej intuicje prowadzą ku odkryciom z dziedziny teorii chaosu i entropii o wiek późniejszym. Nie zdąży odwrócić biegu nauki: spłonie w pożarze Sidley Park nie doczekawszy siedemnastego wiosny, a 180 lat później jej następcą, wyposażony w komputer student matematyki z Oxfordu, będzie ślezczał nad jej notatkami, olśniony – i bezradny.

Klasyczne porządki diabli wzięli, przeszłość jest nieczytelna, pełno w niej wielkich odkryć, ale ich zaistnienie dla potomnych to kwestia przypadku, świat wkroczył w erę chaosu i entropii – powiada Stoppard. I buduje wokół tych tez dzieło przedziwne: popularnonaukowy esej sceniczny, który przy okazji jest romansem, komedią i pastiszem literackim. Refleksje o nowym kształcie świata po przełomie romantycznym są tu powplatane w losy bohaterów, ich życiowe ambicje, po-

rażki, flirty i depresje – te z 1809 roku, i te dzisiejsze. Era chaosu odciska się w ludziach, w ich postępowaniu, charakterach, w ich kaprysach, zagubieniu – dokładnie tak, jak odciska się w krajobrazie owej arkadii, drwiąco odległej od pierwotnego sensu słowa.

Scenograf gdańskiego spektaklu, Marek Braun, z ogrodu zrezygnował – zоставił za oknem tylko gałąź i matowe światło. Przez okna niekoniecznie musi być coś widać – odpowiada Stoppard w didaskaliach. – Rozumiemy jedynie, że dom stoi w ogrodzie krajobrazowym, typowym dla tamtych czasów. Ba, lecz jak osiągnąć to proste rozumiemy w wyobraźni aktorów i widzów, dla których salon niezmienny przez dwieście lat i wciąż żywy, nie muzealny, stojący w romantycznym ogrodzie zarastającym, lecz nie zniszczonym, jest przecież równie egzotyczny, jak wyspa Borneo?

Misterna zabawka intelektualna Toma Stopparda mogła powstać tylko w kulturze nobliwej i konserwatywnej: pełnej szacunku, nawet uwielbienia dla przeszłości. „Arkadia” drwiąco pod-

rzy Limon nader często musiał kapitulować (czymże, jeśli nie walkowerem, są przypisy tłumacza w oryginalnie nieprzetłumaczalnej grze słów – i cóż po takim przypisie teatrowi?). Co więcej, sama sztuka znakomicie mieści się w tradycji błyskotliwej, pełnej słownych fajerwerków angielskiej komedii konwersacyjnej od Szekspira przez Sheridana po Oscara Wilde’a, G. B. Shawa i ich współczesnych spadkobierców. W tę tradycję, żywą i hołubioną, Stoppard wpisuje się brawurowo i z nieskrywaną przyjemnością; to zapewne jedno z głównych źródeł oszałamiającego sukcesu na Wyspach.

Proszę mi wskazać żywą tradycję – literacką, teatralną, światopoglądową i wszelką inną – w którą „Arkadia” mogłaby się wpisywać w Polsce!

Do inscenizacji Krzysztofa Babickiego niewiele można wnieść pretensji od strony rzemieślniczej. Reżyser zadbał, by w Stoppardowskim rebusie czytelna była fabuła – i rzeczywiście dawne perypetie oraz ich nieudolne rekonstrukcje ogląda się lekko i przyjemnie. To niemało – ale też i wszystko. Pozbawiony naturalnego konserwatyizmu angielskiej widowni, będącego punktem odbicia dla tekstu, pozbawiony tradycji grania sztuk dyskursywnych, gdzie cały kunszt mieści się w wieloznacznym, migotliwym dialogu pół żartem, pół serio, teatr jest bezradny – wszystko, co ponadfabularne, zawisa tu w próżni. Postacie rysowane są jak na plakacie: typy rozpoznawalne na miłę, niezmiennie od początku do końca (wyjątkiem Jacek Mikołajczak, który umie znaleźć między mentorstwem a uwodzicielstwem swej postaci sporo ciekawego materiału). A takiej sztuki doprawdy nie da się grać łatwymi chwytami. Intelektualne fajerwerki Stopparda, nie wsparte rzetelnym i wystrzegającym się banału aktorstwem, z miejsca zmieniają się w mędrkowanie przeuczonego prymusa, godne może szacunku, lecz mało zajmujące.

Nie potrafię dziś wskazać między Tatrami a Bałtykiem teatru, w którym wystawiona „Arkadia” mogłaby przynieść ten rodzaj przyjemności, jakiego moja rozmówczyni doświadczyła w Londynie. Tym bardziej warto docenić – mimo połowicznego sukcesu – odwagę i wysiłek przygotowania polskiej prapremiery. W gruncie rzeczy gdański spektakl ogląda się jak ilustrację popularnej anegdoty o przepisie na angielski trawnik (podlewać i ścinać, podlewać i ścinać – tak przez trzy lata). Zaś budzenie nieśmiałej tęsknoty do choćby odrobiny zdrowego, nobliwego konserwatyizmu nie jest w naszej żądnej błyskotek, gardzącej nudną gadaniną, młodzieńczo beztroskiej kulturze bez znaczenia.

Tom Stoppard: Arkadia. Przekład: Jerzy Limon, reżyseria: Krzysztof Babicki, scenografia: Marek Braun, muzyka: Andrzej Głowiński. Prapremiera polska w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku.